

Kronika tygodniowa.

„Gdybym miał pióro Wacława z Potoka,
Co barwnym rymem pisał chocholskie dzieje,
Pisałbym, jako lała się posoka...”

Temi słowy zacząć wypada niniejszą kronikę, skoro bowiem wszystkie krakowskie pisma przepełnione są wiadomościami o tak zwanych rozruchach głodowych, których widownią był Kraków od dnia 5 sierpnia począwszy przez dni kilku i *Nowości Ilustrowane* nie mogą pozostać w tyle, ale muszą urońić iż nad niedolą „tych szerokich mas”, które, upominając się o swe prawa, muszą się uciekać aż do alicyjnych ekscesów.

Bo, że są to w samej rzeczy „szerokie” masy, to mi każdy musi przyznać, kto je widział na własne oczy i słyszał na własne uszy. Jedną w drugą z pomiędzy demonstrantek cieszy się co najmniej stu lub nawet i więcej kilogramami żywej wagi, posiada okrągłe oblicze, nieczem księżyc w pełni, nie też dziwnego, że w tem potężnym cielesku (tak zwane „bujne wdzięki”) kryje się i moc energii, szukającej tylko sposobności do wyładowania się na zewnątrz i głoś, jakiego nie powstydziliby się bohaterowie Homera, od których okrzyków waliły się obronne mury...

Z zacytowanego na wstępie wiersza i powyższych kronikarskich wywodów sądzi kto może, że się w Krakowie lała krew?... Broń Boże!... Rewolucja głodowa odbyła się wprawdzie głośno, ale bezkrwawo. Żałować należy, że nie było w tym czasie senatora Morgenthana, który mógłby się był na swoje własne oczy przekonać, jak wyglądają osławione polskie pogromy, choć bowiem większość poszkodowanych w dziesięćdziesiąt i kilku procentach stanowią chrześcijanie, nie obeszło się bez tego, iż tu i tam poturbowano „neutralnego” obywatela, co niewątpliwie głośnem echem odbije się w prasie zagranicznej i da powód panu Cohenowi do wylania na nas całego kubła syonistycznych pomył, rzekomo w obronie pokrzywdzonej srogo „mniejszości narodowej”, za którą nikt się nie ujmie.

Ale może jestem w błędzie... Może właśnie p. senator bawił *incognito* w Krakowie i na jego cześć urządzono tę „zabawę ludową”. Za tem przemawia i ta okoliczność, że nasze władze, mające czuwać nad tak zwanem publicznem bezpieczeństwem, nie przeszkadzały zupełnie, jakgdyby chciały, aby wszystko odbyło się aż do końca według z góry ułożonego programu. Inaczej bezczynności ich tłumaczyć sobie nie możemy.

Jeśli więc pan senator bawił wówczas w Krakowie i patrzył na to, co się w ciągu tych dni działo, musi dojść do przekonania, że „krakowskie pogromy” nie są znowu tak straszne i powinien o tem w drodze urzędowej zawiadomić swego mocodawcę, prezydenta Wilsona, a także i p. Cohena.

A teraz powody i przebieg tej rewolucyj „głodowej” według zupełnie autentycznych informacji i własnych spostrzeżeń kronikarza.

Kraków znajduje się stale w tem niezbyt miłym położeniu, że wciąż mu brakuje tego, to znów owego, a z zasady tego, co jest najbardziej do życia potrzebne. Po Austryakach zostały nam wprawdzie różne centrale, urzędy aprowizacyjne i tym podobne instytucje, które mają za zadanie zająć się wyżywieniem ludności, aby ta reszta, która dotąd przy życiu pozostała, nie znalazłszy chwalebnej śmierci na polu ehwały, nie pomaża z głodu, ale one, choć zmieniły nazwę, urzędują dalej po austriacku, to jest psują niepotrzebnie papier, a funkcyjnarjusze tracą nadarmo drogi czas na sledzeniu w biurze, za co pobierają niezgorsze pensyjki, wraz z różnymi ubocznymi dodatkami. Dzięki im, przy łaskawem poparciu Warszawy i tamtejszego rządu centralnego, tak się stosunki ułożyły, że obecnie brakuje w Krakowie maki, więc i chleba, cukru, soli, węgla (w lecie można się bez nich obejść!... przyp. zecera), nabiału, jarzyn i t. d., można natomiast zupełnie swobodnie lykć pełną piersią świeże powietrze, czego, dotąd przynajmniej, nikt nie broni.

Ponieważ jednak odżywianie się samem świeżem powietrzem jeszcze się u nas ogólnie nie przyjęło, a nie każdego stać na to, aby się w najniezbędniejsze artykuły zaopatrywać u mniejszych i większych paskarzy, nie w tem dziwnego, że, gdy żołądek zacznie się upominać o swe prawa, szuka się środków zaradczych.

W pierwszym więc rzędzie zbiera się deputacja głodnych i idzie z apelem tam, skąd najprędzej można się spodziewać ratunku, więc do magistrata, gdzie ją łaskawie przyjmuje pan prezydent, lub który z wiceprezydentów i wysłuchawszy uważnie, oświadcza, że prezydent miasta wie, iż jest źle i robi, co może, aby złemu zaradzić, ale na przeszkodzie staje to i owo,

głównie zaś nieżyczliwe stanowisko centralnego rządu warszawskiego, utrudniającego aprowizację. Ale nie powinno się tracić nadziei, że się wszystko jakoś pomysłnie ułoży i stosunki poprawią, jeśli nie prędkiej, to z pewnością pózalej!... Należy się też uzbroić w cierpliwość, której już tyle i tak pięknych daliśmy dowodów!... czekać, gdyż jadą i ziemniaki i mąka i cukier i ryż i smalec, nawet figi, słowem wszystko, czego tylko dusza i żołądek zapagnie. Aby to zaś ziszcilo się jak najrychlej, należy gorąco prosić Pana Boga, aby Dach święty zstąpił na dygnitarzy aprowizacyjnych w Warszawie i oświecił ich, a kolejarzy w Kongresówce aby myśleli nie tylko o swych prawach, ale i obowiązkach, gdyż w przeciwnym razie nie do nas nie przyjadzie, a przynajmniej nie tak prędko.

To zwykła śpiewka, powtórzyła się więc i obecnie. Deputacja udała się do pałacu Wielopolskich, opowiedziała samemu panu prezydentowi, co jej dolega i z jego własnych ust dowiedziała się... jak wyżej. Wyszła więc po audyencji wprawdzie nie nasycona, ale pełna nadziei i z postanowieniem, że nie zostaje nie innego, jak... czekać cierpliwie następstw, które nigdy gorsze być nie mogą, chyba... gdyby się tak złożyły fatalnie okoliczności. Kto jednak traciłby nadzieję i nie pamiętał o tem, co powiedział pan fizyk, dziś już minister, że „mimo przeciwności, nie powinno się nigdy upadać na duchu”.

Ba!... Ale duch obejdzie się bez jedzenia, słabe i mdłe ciało zaś nie, wobec czego trudno się zastanawiać zupełnie ściśle do przydykałego polecenia i czekać cierpliwie i być dobrej myśli...

Kto jednak wie, czy nie byłoby się tak stało, gdyż deputacja rozeszła się spokojnie do domów, gdyby równocześnie na widownię nie wystąpiła druga serya „głodnych”, składająca się w połowie z korpulentnych niewiast, o których wspominałem na wstępie, w połowie zaś z niedorostków obojga płci, nie mających daleka cały nie do roboty i szukających tylko sposobności, aby się obłowić cudzym kosztem.

I jednym i drugim jeść się nie chce, gdyż, gdyby tak było, znalazłby godziwą pracę, jeśli zaś nie która z niewiast wystąpiły z wózekami w rękach i miotłami, to tylko dla zdokumentowania, że są kapłankami ognisk domowych, mają też wobec tego bezpośrednią styczność z drożdżką, gwłdzący i wrzeszczący drobniak, to ich „głodna dzieci”...

Rozpoczął się demonstracyjny spacer po mieście i odwiedzanie lokali, gdzie się krępi mdłe ciała. Złożono więc wizytę Wótkowskiemu, Bisanzowi, Sauerowi, Noworodkiewiczowi, Wentzlowi, Suskiemu, Pytłowi, Kurkiewiczowi, Grabowskiemu i t. d., doznając wszędzie jak najgodziwego przyjęcia, nie też dziwnego, że na pamiątkę przyjemnie spędzonych chwil zabierano lizaki, szklanki i talerze. Głodny musi jeść, chcąc zaś jeść, musi mieć i czym i na czym. Nieproszeni goście obsługiwali się sami, aby zaś nie wracać do domu z próżnymi rękami, zaopatryli się na wszelki wypadek w kosze, worki i plecaki, wypełniające się powoli rozmaitymi artykułami spożywczymi.

Miedzy demonstrującymi zauważono prawie te same osoby, które brały udział w nie tak dawnej „ofensywie” na głównego trafikanta, p. Bujańskiego. Wówczas występowały w roli spragnionych dymu tytoniowego, dziś zmieniły się na „głodujący proletaryat”. Baby wrzeszczały, ile sił starczyło i wygrażały pięściami, niedorostki kradli przy tej sposobności, co się tylko dało. Tu i ówdzie, jak się wyżej wspomniało, poturbowano jakiego żyda, ale to tylko gwoli rozmaitości, gdyż ekscesy obecne nie miały zupełnie charakteru antysemitckiego.

■ Nie brakuje też i wzruszających momentów.

■ Oprócz głównej armii, chodzący też luzem drobne podjazdy, składające się z trzech lub czterech amazońek, które wstępowały do lokali, przedstawiały się jako ofiary głodu i prosiły o kilka koron wsparcia, czego im naturalnie tu i ówdzie nie odmówiono.

Ze zaś „głodni” mieli dobre serce i pamiętali także o tych, którzy są od nich w większej potrzebie, o tem świadczy fakt, że po zrównaniu chleba, wziętego dla dzieci do Parku Jordana, można było już w Brackiej ulicy kupić bochenki i to nawet „niezależnych kosztów” sprzedającego. Taki sam los spotkał posiadkę barani i polędwice, skradzione z lodowni u Wentzla. Ten, kto się w nie zaopatrzył, przypomniał sobie w sam czas, że jest jarošem i zaraz na Rynku pozbył się niepotrzebnego ciętarni i to „po zniżonej cenie”.

Olsierwowano jednak i brzydkie instynkty. O kawał surowego mięsa pobito się dwu niedorostków. Jeden twierdził, że się jemu należy, gdyż on pierwszy je „odkrył”... w lodowni, drugi utrzymywał, że on ma doń prawo, gdyż o własnych siłach przeprowadził rekwizycję. Pogodził ich trzeci, zabierając mięso, a obu zapasników zostawiając z kwitkiem i nosami spuszczo-nymi na kwintę.

Na ogół wypadła owa „głodowa” rewolucja dość spokojnie, napędziła jednak dość strachu zwłaszcza „neutralnym”, którzy na gwałt zamykali swe sklepy z okrzykiem trwogi!

— *Aj waj!... Die Pogromes!*

A teraz refleksje na ten temat, ale, niestety, bardzo smutne.

Czy to potrzebne te awantury i czy one mogą mieć jakiś dodatni skutek?... Każdy powie, że nie gdyż tego rodzaju wystąpień „głodnego proletaryatu” nikt nie weźmie na serio, owszem, każdy powie, że tym ludziom musi się bardzo dobrze powodzić, skoro mogą urządzać tego rodzaju operetkowe występy. Już sam wygląd demonstrujących świadczy, że oni i głód, to dwie rzeczy, nie z sobą wspólnego nie mające!

Warszawy takie to nie wzruszy i dalej będzie Małopolskę traktować po macoszemu. Co najwyżej może ją to cieszyć, że i u nas od czasu do czasu łudek się rusza.

„Głodny proletaryat” swą demonstracją wyrządził krzywdę jedynie naprawdę głodnym, którzy za jego figle będą musieli zapłacić, gdyż ładen z gospodarzy kosztów owego „przyjęcia” nie pokryje ze swej kieszeni, ale rozłoży je na swych konsumentów równomiernie i jeszcze na tem zarobi.

Cóż zresztą winien restaurator, kawiarnik lub cukiernik, że magistrat nie dostarcza ogółowi tego, czego on potrzebuje. Te lokale, które padły ofiarą, przeznaczone są wprawdzie dla inteligentów, ale przecież i oni jeść potrzebują, fałszywie więc zaadresowano objawy niezadowolnienia głodnego tłumu.

Należało je skierować raczej w zupełnie inną stronę i w zupełnie inny sposób. Powinno się upomnieć o swoje prawa u tych władz, do których to należy, ale w sposób poważny i powtarzać to dopóty, dopóki nie odniesie to pożądanego skutku. Codzienna wizyta deputacji w prezydium miasta i w urzędach aprowizacyjnych robiłaby swoje. Reszta należy do naszych posłów, którzy powinni w Warszawie energicznie zabiegać o interesy miasta... Zupełnie im to nie przeszkodzi w robeniu polityki, a nawet w ubieganiu się o teki ministerialne, gdyż jedno drugiemu zupełnie nie przeszkadza! Owszem, powinno nawet dopomóc staranie się o swój okręg wyborczy. Takim tem chętniej powierzą losy całego państwa.

A teraz jeszcze jedno pytanie, niestety, bez odpowiedzi.

Gdzie była i co robiła nasza policja w tym czasie i dlaczego dopuściła do tego, aby garść rozwydrzonych bab i najgorszej sorty niedorostków terrorizowała ogół spokojnych mieszkańców i to przez kilka dni z rzędu. Traktat pokojowy o „mniejszości narodowej” de nich się chyba nie odnosi, a jest to w każdym razie mniejszość, gdyż większość narodu inaczej i myśli i postępuje.

Z bólem serca stwierdzić należy, że nasza władza bezpieczeństwa, która, gdy była jeszcze cesarsko-królewską, okazywała taki nadmiar energii, że trzeba jej to było wytkać, dziś popadła w drogą ostateczność zasnąła.

Ze snu jej korzystają ci, którzy z nią stale zostają na stopie wojennej, cierpią zaś inni, chcący w niej widzieć w samej rzeczy władzę prawdziwego bezpieczeństwa. I nie też w tem dziwnego, że w Krakowie tak się mnożą kradzieże, włamania, rozboje, napady, świadczące o rosnącej z dnia na dzień energii różnych ciemnych żywiołów, a ospałości policji.

Jeśli żywotność jej i siły wyczerpały się skutkiem poprzednich wysiłków, niechaj szuka wypoczynku, ale nie przy biurku urzędowym, lecz spożywając chleb *bene meretum* i robiąc miejsce innym, którzy gorliwiej pełniliby swe obowiązki, wiedząc o tem, jaka na nich ciąży odpowiedzialność wobec społeczeństwa, którego członkowie, spełniając chętnie swe obowiązki, żądają równocześnie, aby respektowane były i ich prawa. A jednym z nich jest bezpieczeństwo publiczne, na którego strażę ma stać policja. Jeśli tego nie czyni, zajmując się czem innym, częstokroć nie z urzędowaniem nie mającym wspólnego, obejdzie się bez niej, a skarb państwa nie będzie narażony na niepotrzebne wydatki. Wiedząc o tem, że jest pozostawiona sama sobie, potrafi sobie ludność zapewnić bezpieczeństwo i kto wie, czy nie wyjdzie na tem nawet i lepiej, niż pod skrzydłami opiekuńczych „władzy”.

Mają podobno policję zreformować. Oby to nastąpiło jak najrychlej i najradzykalniej. Niech zginie ten duch, który dotąd w jej murach pokutuje i „wyewalować” się nie chce!

Wszystko na świecie musi mieć swój koniec, miały go więc i owe demonstracje głodowe. Udał się sam przez się, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów, nawet w poprawie warunków aprowizacyjnych, które i nadal dają bardzo wiele powodów do narzekania.

